

(Nie) Umarli. Księga 1. Jonas

Nagle dobiegł mnie odgłos trzaskania drzwi targanych wiatrem. Przestraszyłam się, bo nie przypuszczałam, że w takiej odległości od miasta może znajdować się skryte wśród drzew domostwo. Nie wał tak, poprosiłam swoje serce. Darina, weź się w garść, dziewczyno. Ale tamtego dnia zląkłabym się nawet szmeru spadającego liścia. Dwa dni wcześniej zginął Phoenix, mój chłopak. Drzwi wciąż łomotały, a moje serce im wtórowało. Wypatrywałam czegoś na wzgórzu, sama nie wiedząc czego. W końcu wspierałam się na wierzchołek i spojrzałam w dół. Wtedy go zobaczyłam – stary, niszczący dom z gankiem, zbudowany z bali, a obok niego stajnia i na stelażu z drągów okrągły, przeżarty rdzą, rozpadający się staroświecki zbiornik na wodę. Przed domem stała zaparkowana półciągarówka – bez błotników, z dziurami w karoserii. Wybujała pożółkła trawa wokół ganku sięgała kolan.

To drzwi stajni trzaskały na wietrze, otwierając się i zamykając w rytm jego podmuchów.

Większość ludzi odwróciłaby się na pięcie i odeszła. Ale nie ja.

Już mówiłam, że czułam się kompletnie zagubiona, zadawałam sobie pytania o sens miłości, cierpienia, życia. Darina przepełniona wagą swojej misji – tak by to mogło wyglądać. Jakiej misji? Musiałam wyjaśnić, jak to możliwe, że w ciągu tego roku zmarło czworo moich kolegów z klasy. Jonas, Arizona, Summer, a teraz Phoenix. Powiedziałabym: tragiczne i co najmniej dziwne. Nie tylko ja byłam przerażona, możecie mi wierzyć.

Śmierć Phoenixa złamała moje nastoletnie serce. Dość długo kochałam się w nim potajemnie, aż w końcu zaczęliśmy się spotykać – dwa cudowne miesiące. Położyłam kwiaty w miejscu, gdzie zginął, ugodzony nożem. Patetyczne, powiecie. Miało to znaczyć: nigdy o tobie nie zapomnę, zawsze będę cię kochać, ale zupełnie nie oddawało głębi moich uczuć.

Postanowiłam zejść tam, zrobić coś, żeby te cholerne drzwi przestały walić, a potem rozejrzeć się po opuszczonym domu. Dotknąć życia ludzi, którzy w nim mieszkali – przekonać się, jakie talerze ustawiali na stole, na jakich krzesłach zasiadali do jedzenia.

Najpierw stajnia. Drzwi były wielkie, poznaczone setką zardzewiałych gwoździ. W ciemnym wnętrzu dojrzałam starą końską uprzęż rozwieszoną na hakach, parę pokrytych warstwą kurzu skórzanych kowbojskich ochraniaczy na spodnie, oplcione pajęczą siecią grabie i zgrzebła.

I grupkę ludzi recytujących coś śpiewnie. Pośrodku ktoś stał. Z początku nie wierzyłam własnym oczom, ale to był on. Phoenix. Rozebrany do pasa, realny tak jak ja teraz.

Phoenix, który wykrwawił się na śmierć od ciosu nożem między łopatki.

Starszy siwowłosy mężczyzna wstąpił w krąg recytujących ludzi i położył dłoń na ramieniu mojego chłopaka. Mojego nieżyjącego chłopaka.

– Witaj w naszym świecie – powiedział.

Łup! Drzwi za moimi plecami zatrzasnęły się z hukiem. Serce załomotało mi w piersi i zamarło.

– W świecie (Nie)Umarłych – zaintonowali inni. – Zostałeś jednym z nas, witaj.

Phoenix – bo to był on – sprawiał wrażenie nieobecnego. Patrzył niezbyt przytomnie, oszołomiony.

Siwowłosy mężczyzna przyglądał mu się uważnie.

– Wróciłeś – odezwał się cicho.

– Zza grobu – dopowiedzieli szeptem otaczający go ludzie.

Potrząsnęłam głową, chcąc uwolnić się od tej wizji. Niemożliwe, żeby to się działo naprawdę! To

jakieś zwidy!

Umarli to umarli, nie wracają z zaświatów.

Nie pomogło. Wizja nie znikła, to wszystko działa się nadal.

– Cześć, Phoenix. Jest w porzo – odezwała się jakaś dziewczyna, podchodząc do niego. – Pamiętasz mnie?

Była odwrócona do mnie plecami, widziałam tylko jej długie ciemne włosy.

– Siemasz, kolego, a mnie pamiętasz? – spytał jeden z chłopaków, odłączając się od grupy, a zaraz za nim podeszła dziewczyna o jasnych włosach do ramion.

– Jest okay, łowczy ci to załatwił – wyjaśniła. – To właśnie jest łowczy.

Siwowłosy mężczyzna wyciągnął dłoń do uścisku.

– Nie ucierpiełeś zbyt wiele, wracając do świata? – spytał tonem lekarza wypyującego pacjenta.

– Nie było tak strasznie, żebym nie mógł tego znieść – powiedział Phoenix.

Rozpoznałam jego głos. Tak zawsze mówił – niewyraźnie, cicho, spokojnie, tym swoim charakterystycznym niskim, głębokim tonem. Skulił ramiona, jakby go coś zabolalo.

– Łowczy opiekuje się nami wszystkimi – oznajmiła z uśmiechem blondynka.

Rozjaśniło mi się w głowie. Przecież znałam ten cudownie ciepły uśmiech. Nieważne, że włosy miała dłuższe i rozwichrzone, a skórę bledszą. To była Summer Madison. Widziałam przed sobą kolejną osobę, która nie żyła, a jednak mówiła, chodziła, uśmiechała się.

– Łowczy tutaj rządzi. Wszystkich nas sprowadził z powrotem – uzupełniła wyjaśnienia Summer ciemnowłosa dziewczyna.

Słyszałam, co mówi, ale nie patrzyłam ani na nią, ani na siwowłosego mężczyznę. Nie mogłam oderwać wzroku od Phoenixa. Serce waliło mi tak, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi.

Chciałam podbiec do niego, dotknąć go, pocałować, wziąć w ramiona. Ale byłam zbyt oszołomiona, tkwiłam tam jak wrośnięta w ziemię.

– Dlaczego? – spytał Phoenix.

Odzyskał już równowagę i teraz obudziła się w nim podejrzliwość. Zmrużył swoje szaroniebieskie oczy, patrząc spod zmarszczonych brwi.

– Sam powinieneś wiedzieć – powiedział chłopak, wzruszając ramionami.

Przeniosłam na niego wzrok na chwilę, ale wystarczająco długą, by po błysku niebieskich oczu i skrzywieniu wydatnych warg rozpoznać Jonasa Jonsora.

– Masz swoje powody, skoro znalazłeś się tutaj – wyjaśniła Summer. – Tak jak my wszyscy.

– Gdzie jesteśmy? O co tutaj chodzi? – dopytywał się Phoenix.

To wszystko wyraźnie nie miało dla niego sensu, tak jak i dla mnie, szpiegującej ich osoby ze świata żywych.

– Uruchoń mózgownicę – poradziła mu ciemnowłosa dziewczyna i roześmiała się, ale bez złości. – Nie dotarło jeszcze do ciebie? Jesteś jednym z nas. (Nie)-

Umarłym.

– Arizona? – Phoenix potrząsnął głową, zupełnie jak ja przed chwilą. Arizona nie znikła, nadal ją widział przed sobą. – Jakim cudem?

– Też mam coś do załatwienia – odrzekła, kiwając głową. – Muszę coś wyprostować.

Phoenix Rohr, Arizona Taylor, Summer Madison i Jonas Jonson. Czworo zmarłych uczniów ze szkoły w Ellerton.

Wszyscy bardzo piękni, mimo bladej skóry i nierzeczywistego wyglądu. Śmierć nie zdołała ich zniszczyć.

Miłość i cierpienie rozdzierały mi serce.

Drzwi uchyliły się i – łup – na powrót zatrzasnęły z łoskotem.

– Zrobię z tym porządek – oświadczył łowczy i ruszył w moim kierunku. – Trzeba wreszcie naprawić ten zamek. Zaczyna mi to działać na nerwy.

Boże, co miałabym mu powiedzieć, pomyślałam w panice.

Wyskoczyłam zza boksu dla konia, gdzie się skryłam, i dopadłam drzwi przed łowczym. Nieważne, że mnie zobaczy. W sekundę znalazłam się na zewnątrz i pędząc jak szalona, minęłam opuszczony dom i zbiornik na wodę. Nie oglądając się za siebie, pobiegłam nierówną, zapuszczoną drogą gruntową obsadzoną drzewami osiki.

– Gdzie byłaś?

Laura wyrosła przede mną nagle, ledwie zamknęłam drzwiczki samochodu. Zdążyłam zrobić może dwa kroki po podjeździe, gdy mnie zaatakowała.

– Nigdzie. Tak sobie jechałam przed siebie.

Wiedziałam, że ta odpowiedź jeszcze bardziej ją rozzłości, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. I tak lepiej, niż gdybym ją poinformowała: właśnie widziałam czworo nieżyjących kolegów. Chodzili i rozmawiali.

– Nie możesz tak sobie jeździć przed siebie. Wiesz, ile kosztuje benzyna – wytknęła mi zrzędliwie.

Nie odpowiadając, weszłam po schodkach do domu. Rzuciłam klucze na stół w kuchni.

– Darina! Martwiłam się o ciebie.

– Niepotrzebnie – odparłam, kierując się do swojego pokoju.

Laura zastąpiła mi drogę.

– Wciąż się martwię. Nie chcesz rozmawiać, nie jesz.

– Nie jestem głodna.

– Spałaś chociaż trochę?

Aha. Spałam i śniłam koszmar. Dalej śnię. Może by ktoś mnie z niego obudził?

– Darina, odpowiedz mi!

Nie rozmawiam z mamą zbyt wiele, to fakt. W każdym razie od czasu, gdy Jim się wprowadził cztery lata temu. Nic do niego nie mam, ale nie przepadam za nim. Wielki Guru Elektroniki, który jeździ po całym stanie i sprzedaje ludziom laptopy.

– Rozumiem, że jesteś rozdrażniona – westchnęła Laura.

Rozdrażniona? A może: załamana, zdruzgotana, całkiem rozbita? Jakby mi ktoś wywiercił wielką dziurę w sercu czy w głowie, obojętne, ważne, że nie jestem już sobą. Patrzyłam na nią, starając się powstrzymać drżenie warg.

– We wtorek odbędzie się jego pogrzeb – powiedziała cicho Laura. – Brandon przyszedł dziś do mnie do sklepu kupić ciemne ubranie.

– On miał imię, wiesz?! – Ból zamienił się w złość. – Miał na imię Phoenix!

Miał czy ma? Widziałam go w tej stajni czy nie?

Normalnie Laura dałaby mi popalić, zarzucając brak szacunku, i skończyłoby się kłótnią. Ale dzisiaj puściła to mimo uszu.

– Czy mam ci napisać usprawiedliwienie do szkoły?

Wzruszyłam ramionami. Nie pójdę, jak nie będę chciała.

– Muszę się zdrzemnąć – powiedziałam. W głowie mi się kręciło. – Zwariuję, jak się nie prześpię.

Poprawka, już zwariowałam.

Rzuciłam się na łóżko i wbiłam wzrok w sufit. Starłam się nie dopuszczać do siebie obrazów ze stajni.

Nie pojechałam do Foxton, nie zaparkowałam tam samochodu, nie szłam pośród osik, a ich liście nie

drżały. Nie usłyszałam trzaskających drzwi, nie wspięłam się na wzgórze.

Lepiej pomyśleć o tym, co się wydarzyło wcześniej tego dnia. O popołudniu, które spędziłam u Logana. Milczeliśmy, oboje bardzo smutni.

– Phoenix nie był agresywny. – To były moje pierwsze słowa, gdy wreszcie zdecydowałam się przerwać milczenie. – Nie wdawał się w bójki.

Siedzieliśmy oboje na ganku jego domu, sami. Balustradę ozdabiał rząd butelek po budweiserze, pod siedziskiem huśtawki wałały się brudne buty ojca Logana.

– Może masz rację.

– Mieliśmy się spotkać – mówiłam dalej. W piątkowy wieczór czekałam na niego w swoim samochodzie

przy Deer Creek, wypatrując aż do zmierzchu jego

pikapa. Nie doczekałam się. – Jak to się stało? – spytałam Logana, nie powstrzymując łez spływających po moich zimnych policzkach. – Co się wydarzyło?

– Wszyscy mieli noże – powiedział łagodnym, spokojnym głosem. – Phoenix też.

– Nie chcę tego słuchać. – Potrząsnęłam głową.

– Ale to prawda, Darina. Phoenix nie był aniołem, wierz mi.

Wstałam, żeby odejść, i niechcący strąciłam kilka butelek. Rozbiły się na kamieniach pod gankiem.

Logan poszedł za mną zwirowaną ścieżką prowadzącą do drogi.

– Jak długo byliście parą? – spytał. – Sześć tygodni? Góra dwa miesiące.

Nie odezwałam się na to słowem. Płakałam ze złości.

– Jak dobrze go znałaś, Darina? Co o nim naprawdę wiedziałaś?

Doszliśmy do mojego samochodu, wsiadłam i z trzaskiem zamknęłam drzwi. Logan pochylił się i złapał za kierownicę.

– Jak długo znasz mnie? Całe życie. Wierz mi, Darina, mówię ci najszczerzą prawdę.

– To znaczy, co mi mówisz? – spytałam ze złością, podnosząc głos ponad szum silnika. – Że mój chłopak był członkiem gangu? Nosił nóż, więc zasłużył sobie na śmierć?

– Nic podobnego! – Logan potrząsnął głową. – Ani on, ani Jonas, rozbijając motocykl, ani Arizona, topiąc się w jeziorze, ani Summer...

– Przestań! – wrzasnęłam. Zginęło ich czworo w ciągu roku. – Nie musisz mi o tym przypominać.

Piękne dzięki. Puścisz wreszcie tę kierownicę?!

Znaliśmy się od dziecka, Logan Lavelle i ja, ale mylił się co do mnie całkowicie.

– Myślałam, że przynajmniej ty rozumiesz – rzuciłam mu, po czym nacisnęłam pedał gazu i odjechałam.

W piątek czekałam nad Deer Creek na Phoenixa ponad godzinę. Tymczasem przyjechał Logan.

– W mieście toczy się bójka – ostrzegł mnie. – Sporo ludzi bierze udział. Brandon i Phoenix także.

Nie wierzyłam mu, dopóki nie dojechałam, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość, do Ellerton.

Byłam wściekła na Phoenixa, bo nie przysłał mi esemesa, że się w to nie wmixował. I mdliło mnie na myśl, że jego starszy brat Brandon tym razem mógł zrobić coś naprawdę szalonego. Kiedy dotarłam do miasta, było już za późno. Bójka się skończyła. Pozostały tylko ślady krwi.

– Opłacę ci terapię – zaproponowała Laura, kiedy wychodziłam do szkoły. – Zdobędę skądś pieniądze.

– Wyglądam, jakbym tego potrzebowała? – odpaliłam ze złością.

Laura wzięła głęboki oddech, a ja, nie czekając, wypadłam z domu. Zbiegłam po schodkach i jadąc samochodem do miasta, zaczęłam w myślach wyliczankę.

Główne powody, dlaczego czuję się nieszczęśliwa: rodzice rozwiedli się, gdy miałam dwanaście lat; ojczym to fajtłapa; w szkole nuda i jedna wielka beznadzieja; grasuje jakiś świr mordujący ludzi; właśnie zabił mojego chłopaka...

Łzy spływały mi po policzkach. Byłam załamana i nie miałam żadnej bratniej duszy, do której mogłabym się zwrócić o pomoc.

Logan uznał, że to on się do tego nadaje. Podszedł do mnie, kiedy zatrzymałam samochód na szkolnym parkingu. Wysoki, opalony, ciemnobrązowe kręcone włosy... w podstawówce były złociste.

– Cześć, Darina.

Z impetem zatrasnęłam drzwi samochodu.

– Nie pożarliśmy się ostatnio? – przypominałam mu.

– Przykro mi. Żle to rozumiałaś. Nie twierdziłem, że Phoenix dostał to, na co zasłużył.

Doszliśmy do szkoły razem, ja o krok przed Loganem, by mu okazać, że go ignoruję. Ale to, co powiedział, wkurzyło mnie.

– Jasne. Całe Ellerton tak twierdzi. Phoenix był taki sam jak Brandon. W końcu to bracia, takie samo DNA, taki sam wadliwy kod genetyczny.

– Nikt tak nie twierdzi. Popadasz w paranoję – dodał i natychmiast wybiegł do przodu, żeby zagrozić mi drogę na korytarzu. – To też źle zabrzmiało. Nie chciałem cię krytykować. Miałem na myśli tylko to, że jesteś w rozsypce, co oczywiście, bo to dla ciebie bardzo trudne... Ja to rozumiem.

Westchnęłam, a właściwie jęknęłam:

– Logan, daj oddychać. Możemy o tym nie rozmawiać?

Skinął głową, poddając się.

– Wyślij mi esemesa, jeśli tylko będziesz mnie potrzebować.

Weszłam do klasy i przez ułamek sekundy zobaczyłam Phoenixa siedzącego na parapecie okiennym.

Skrzyżowane w kostkach nogi oparł o blat ławki i patrzył na mnie z uśmiechem.

Odwaliło mi, pomyślałam po raz setny od czasu, gdy znalazłam się w Foxton.

A potem mnie otoczyli i straciłam Phoenixa z pola widzenia. Wszyscy poklepywali mnie i ściskali.

Właśnie zadźgano mojego chłopaka. Stałam się sensacją miesiąca.

Później odbyło się zebranie w naszej supernowoczesnej szkolnej auli. Zarządził je dyrektor.

– Zebraliśmy się, aby okazać żal z powodu nieoczekiwanej śmierci ucznia starszej klasy, Phoenixa Rohra – zaczął doktor Valenti.

Całe Ellerton żyło tą wiadomością. Siedziałam między Jordan a Hannah, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Od czasu do czasu zerkaty na mnie ostrożnie, jakbym była ze szkła i zaraz miała rozsypać się w pył.

– Wciąż nie wyjaśniono do końca okoliczności tej tragicznej śmierci – kontynuował doktor Valenti, stojąc na scenie w szaro-smutnym garniturze, wypowiadając gładko-smutne słowa. – Jedno jest jednak pewne. Będzie nam go bardzo brakowało.

Ktoś zaszczołał. Podniosłam wzrok i tuż za dyrektorem zobaczyłam Phoenixa. Uśmiechał się do mnie.

Za pierwszym razem – dobra, wytwór mojej szalonej wyobraźni. Ale teraz to już była całkiem inna sprawa, nie mogłam tego ignorować. Serce zaczęło tłuc mi się w piersi jak szalone.

Doktor Valenti czynił swoją powinność. Poprosił, byśmy uczcili pamięć Phoenixa minutą ciszy.

– Pochylmy teraz głowy na znak szacunku. I myśląc o Phoenixie, wspomnijmy także innych, których straciliśmy w tym roku. Nie zapominajmy o Jonasie, Arizonie i Summer. Co do mnie, będę przez cały

dzisiejszy dzień wracał do nich pamięcią, wypełniając powierzone mi obowiązki. Przez jeden chrzaniony dzień. A może by tak do końca życia, doktorze Valenti? Zamrugałam i Phoenix zniknął.

Wracaj, pomyślałam. Moje serce szybko się uspokoiło, ale byłam pewna: zobaczyłam coś niesłychanego.

Wszyscy pochyliliśmy głowy. Dokładnie na sześćdziesiąt sekund. I to było tyle.

– Wstań, Darina – szepnęła Jordan.

Wstałam więc razem ze wszystkimi, przy akompaniamencie trzasku podnoszonych siedzeń, i aula opustoszała.

Niewiele pamiętam z reszty tego dnia. Koledzy coś do mnie mówili, ale ja nic nie słyszałam. Matematyczka, obawiając się, że zemdleję, wysłała mnie do szkolnej pielęgniarki. Leżałam na kozetce, wpatrzona w grę cieni, które rzucała na sufit rosnąca za oknem sekwoja, i doszukiwałam się w nich rysów twarzy Phoenixa. Hannah przyszła mnie zobaczyć. Nie powiedziałam do niej ani słowa. Nic do mnie nie docierało.

Licyło się tylko jedno: znaleźć Phoenixa, zobaczyć go znowu. Muszę znów pojechać do tego starego domu i stajni.

Lekcje wreszcie się skończyły, ale na mojej drodze wyrósł Brandon Rohr. Oparty o mój samochód, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, czekał na mnie.

Jak już mówiłam, Brandon był bratem Phoenixa, ale różnili się pod każdym względem, również zewnątrznie, tyle że obaj byli wysocy. Brandon wyglądał jak napakowany futbolista, Phoenix jak pełen wdzięku gracz w koszykówkę. Brandon miał włosy ostrzyżone na jeża, Phoenixowi opadały swobodnie do ramion. Brandon nigdy się nie uśmiechał. Zresztą teraz, trzy dni po śmierci brata, nie było to dziwne.

– Wsiadaj – zakomenderował.

Najpierw marudziłam z zamkiem, potem usiłowałam trafić kluczykiem do stacyjki. Brandon zajął miejsce pasażera.

– Dokąd jedziemy? – spytałam.

– Przed siebie.

Wzięłam głęboki oddech, ale zrobiłam, co mi kazał. Kierując się na zachód, wkrótce wyjechaliśmy poza miasto. Zacisnęłam ręce na kierownicy i udało mi się opanować ich drzenie. Brandon usadowił się wygodnie, oparł się o zagłówek i zamknął oczy.

– No więc? – mruknął.

– Co: no więc?

Zjechałam z tłuczniowej drogi na wyboistą polną ścieżkę i wzniecając kłęby kurzu, skierowałam się do jeziora Hartmann, w którym utonęła Arizona.

– No więc masz okazję zadać mi parę pytań – odpowiedział. – Co ci tylko przyjdzie do głowy.

Skrzywiłam się. Nie miałam co liczyć na współczucie, to nie w stylu Brandona. Ale chciałam wiedzieć... musiałam wiedzieć... tyle niejasności.

– Czy on... czy umarł od razu?

Tam obok stacji benzynowej, gdzie zobaczyłam plamę krwi na drodze.

Głos mnie zawiódł, wychrypiałam to pytanie szepem trzykrotnie, zanim Brandon zrozumiał, o co mi chodzi.

– Nie. Zawieźliśmy go do szpitala, ale nie zdołali go uratować.

– Był przytomny?

Brandon potrząsnął głową.

– Tylko przez pierwszych kilka minut. Krwawił obficie, szybko stracił przytomność.

– Czy... powiedział coś?

– O tobie? – spytał, nie otwierając oczu, i zabrzmiało to tak, jakby oskarżał mnie o egoizm.

– Tak. Czy mówił coś o mnie?

Samochód ze stukotem podskakiwał na wybojach, ale Brandon nie zmienił pozycji.

– Poprosił, żebym z tobą porozmawiał.

– O czym?

– Chciał ci powiedzieć do widzenia.

Do widzenia. Dwa słowa.

– Tylko tyle?

Przed nami rozlało się jezioro, połyskująca srebrem tafla rozciągała się daleko jak okiem sięgnąć.

– „Powiedz Darinie, że żałuję” – przytoczył słowa Phoe-

niksa, a potem usiadł wyprostowany i utkwiał wzrok w jeziorze. – Wymógł na mnie obietnicę, że ci to powtórzę.

Serce podeszło mi do gardła, nie byłam zdolna wykrztusić słowa.

– Zawróć – polecił mi Brandon po długiej chwili, kiedy siedzieliśmy w milczeniu, wpatrując się w wody jeziora. – Wracamy do miasta.

– Kto go zabił? – spytałam słabym głosem, kiedy Brandon polecił mi, żebym zatrzymała się przed blokiem, w którym mieszkali.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparł, jakby w jego mózgu zatrasnęła się jakaś klapka, pozbawiając go pamięci.

– Przecież tam byłeś. Wszystko widziałeś.

Potrząsnął głową.

– Brałeś kiedyś udział w walce?

– Nie.

– Było tam dwunastu albo więcej chłopaków. Kopali, popychali się, okładali pięściami. Któryś wyciągnął nóż. Tyle wiem. – Wysiadł z samochodu, oparł ramię o dach i pochylił się, aby spojrzeć mi prosto w oczy. – Zbieramy się na czuwanie przy Deer Creek. Ja i paru kumpli Phoe-niksa. To było jego ulubione miejsce.

– Po pogrzebie? – zdołałam wyszeptać.

Skinął głową i odszedł.

Zacisnęłam ręce na kierownicy, głowa mi opadła i zaczęłam szlochać.

Jakaś kobieta z wózkiem spacerowym przeszła obok samochodu. Przystanęła i zawróciła, żeby ze mną porozmawiać.

– Co się dzieje?

Podniosłam głowę.

– Wszystko w porządku, dziękuję – odpowiedziałam wbrew oczywistemu faktowi.

– Na pewno? Mogę ci jakoś pomóc?

Grzbietem dłoni otałam policzki.

– Nie, nic mi nie jest.

Nieznajoma zawahała się.

- O cokolwiek chodzi, kochanie, jutro będzie wyglądało to lepiej. I z każdym dniem coraz lepiej.
- Dziękuję – powiedziałam.

Mogła być siedem, osiem lat starsza ode mnie, miała dziecko i całe życie przed sobą. Mąż, dom, więcej dzieci.

Uśmiechnęła się uprzejmie i odeszła, a ja zostałam sama z szalonymi myślami kłębiącymi się w głowie, śniąc na jawie, że zerkam na sąsiednie siedzenie i widzę Phoe-niksa. Uśmiecha się do mnie i mówi:

„Hej, Darina, rusz tego grata, odjedźmy stąd”.

„Dokąd?” – pytam z uśmiechem.

„Dokądkolwiek. Zmywajmy się stąd”.

Przerzuciłby ramię przez wytarte siedzenie kierowcy i oparł swoje długie nogi o deskę rozdzielczą, odchylając się na siedzenie. Prowadząc, widziałabym jego profil. Oczy miałby zamknięte, wiatr rozwiewałby mu włosy, czułabym, jak nieprzytomnie go kocham.

Teraz, kiedy Brandon już zniknął, mogłam znów pojechać do Foxton.

Więc zrób to, powiedziałam do siebie w duchu. Co cię powstrzymuje?

Oczami wyobraźni zobaczyłam opustoszały dom i rozpadającą się stajnię, usłyszałam odgłos trzaskania drzwi, szelest liści osiki na wietrze. Może to wszystko istniało tylko w mojej biednej, znękannej głowie? Jest ten dom czy go nie ma? Dlaczego nigdy dotąd się na niego nie natknęłam? Dlaczego nikt nigdy o nim nawet nie wspomniał?

Foxton leżało niedaleko Ellerton, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów wąską, wznoszącą się górską drogą. Może pół tuzina domów i obskurny lokalny sklepik zięjący pustką. No i jeszcze letnie domki z widokiem na górską rzekę, należące do mieszczuchów, którzy przyjeżdżali tutaj polować i łowić ryby. Okay, zrobię to, pojedę do Foxton, rozejrzeć się. Popytam w sklepiku, czy ktoś wie coś o domu między osikami. Wreszcie miałam jakiś plan.

Nie najlepszy, jak się okazało. Kiedy podjechałam pod sklepik, zobaczyłam, że jest zamknięty, a w oknie widnieje napisana odręcznie kartka ze słowami: „Na sprzedaż”. Wiatr wzbijał piasek z drogi, sypnął mi w oczy, więc wsiadłam z powrotem do samochodu. Brakowało jeszcze niesionych wiatrem uschłych roślin i tęsknych dźwięków gitary, jak w filmie z Clintem Eastwoodem.

- Cholera!

Przekręciłam kluczyk, ale silnik tylko zacharczał. Skończyła się benzyna, przejechałam parę kilometrów więcej niż zwykle. „Zawsze miej trochę benzyny w bagażniku – zalecał nudziarz Jim. – Nigdy nie wiesz, czy ci jej nie zabraknie”.

– No tak, Darina, miał rację. Mogłabyś choć raz w życiu wykazać się przezornością – mruknęłam do siebie, odrzucając pokusę, aby zadzwonić z komórki do Laury.

Wściekła się, a to by oznaczało koniec wypraw do starego domu.

Wysiadłam z samochodu i zaczęłam rozważać inne opcje. Złapać okazję i poprosić o podwiezienie do najbliższej stacji benzynowej. Aha, i trafić na psychola. Nie, zbyt ryzykowne. Zadzwonić do chłopaków i błagać o pomoc... Nie, to żalosne. Poza tym zaczęliby mnie wypytywać.

- Hej, Darina! – usłyszałam nagle.

Rozpoznałam pana Madisona dopiero, gdy zjechał z drogi swoim srebrzystym SUV-em. Ojciec Summer, architekt, teraz ograniczył pracę, żeby pomóc żonie przeżyć żal po stracie córki. Kiedy wysiadł z samochodu, zobaczyłam, jaki jest blady. Wyglądał na wykończonego.

- Jakiś problem? – spytał.
- Zabrakło mi benzyny – przyznałam.

Skinął głową.

- Nie zliczylibym, ile razy mówiłem Summer, że powinna sprawdzać, czy ma benzynę w baku.
- Tak, wiem, tępol ze mnie.
- Też mnie nigdy nie słuchała. Dzieci...

Biedak. Czułam się niemal winna, że żyję.

– Na szczęście dla ciebie, nadjechałem – powiedział, wyjmując z bagażnika zielony kanister. Otworzył go i do moich nozdrzy wdart się charakterystyczny zapach benzyny. Patrzyłam, jak pan Madison wlewa zawartość kanistra do baku mojego samochodu. – Powinno wystarczyć na drogę do domu.

– Dziękuję – szepnęłam, unikając jego wzroku i myśląc o tych beztrudnych wieczorach pod gołym niebem, spędzanych w przyjaznej, swobodnej atmosferze podmiejskiego domu Madisonów, zanim Summer... kiedy Summer żyła.

– Drobiaz – odrzekł, uśmiechając się przelotnie. – Przekręć kluczyk, zobaczymy, czy wszystko w porządku.

Zrobiłam to i silnik zaczął pracować. Mogłam jechać.

– Dobrze, że przejeżdżałem – dodał, wsiadając do samochodu. – Powodzenia, Darina. – I odjechał. Mogłam go zatrzymać, mówiąc: „Panie Madison, jadę na spotkanie z duchem Summer. Jest tam, w widmowej stajni, do której prowadzi zakurzona górská droga. Razem z Jonaszem, Arizoną i Phoenixem. Są tam wszyscy. Nazywają siebie samych (Nie)Umarłymi. To, że pan się tu znalazł, nie jest prostym zbiegiem okoliczności. To przeznaczenie. Nie zechciałby mi pan towarzyszyć?”.

Ale miał złamane serce, a ja wcale nie byłam pewna, czy to, co chciałam mu powiedzieć, nie jest wynikiem szaleństwa wywołanego rozpaczą. A więc nie odezwałam się słowem, tylko patrzyłam za znikającym na drodze do miasta SUV-em.

Nic już nie stało na przeszkodzie, abym pojechała zakurzonym traktem, zostawiając za sobą rozrzucone pomiędzy nierównymi granitowymi głazami domki myszliwych i wędkarzy, zwrócone w stronę rwącej górskiej rzeki albo sosnowego lasu roztaczającego przenikliwą ciepłą woń.

Wkrótce wyjechałam z cienia na jasną krętą drogę biegnącą w górę, ku osikowym drzewom.

Samochód podskakiwał na kamieniach, żwir chrząścił pod oponami, które traciły przyczepność na ostrych zakrętach. Wokół nie widziałam żadnych domów, nie pojawił się też żaden inny samochód, byłam tu sama, a nade mną otwierało się bezkresne niebo z bladym wschodzącym księżycem.

Wciąż żadnego domu, pomyślałam, kiedy dotarłam już, jak mi się zdawało, tam gdzie poprzednio. Ani stajni. Szukałam wzrokiem miejsca, w którym zaparkowałam wczoraj. Chyba jeszcze jakieś dwieście metrów dalej, zdecydowałam, i zwolniłam, starając się rozpoznać charakterystyczne punkty krajobrazu.

Zobaczyłam kępę drzew i wąską ścieżkę po lewej stronie. W wysokiej trawie uniósł łeb wystraszony jeleni.

Jest! Rozpoznałam wznoszącą się w kierunku osikowych drzew drogę przez łąkę. Ponad wierzchołkiem wzgórza mignął mi zardzewiały zbiornik na wodę.

Wysiadłam z samochodu i poszłam ścieżką, płosząc jelenia. Uciekł wielkimi susami przez połyskującą srebrzyście trawę. Zbliżyłam się do drzew, ich liście szeleściły na wietrze. Jak miliony trzepoczących skrzydeł, pomyślałam.

Musiałam przystanąć. Wzięłam głęboki oddech i już byłam gotowa iść dalej.

Szelest liści nasilał się, chociaż wciąż miałam spory kawałek do osikowych drzew. Szłam w tunelu wysokiej trawy, a potem zboczyłam ze ścieżki, żeby wspiąć się na wzgórze najkrótszą drogą.

Zatrzymałam się na chwilę w cieniu zbiornika na wodę, żeby odpocząć. Teren przede mną obniżał się,

otwierając widok na szeroką dolinę, przez którą płynęła rzeka.

Z początku nie dostrzegłam domu. Zaczęłam się zastanawiać, do jakiego stopnia oszalałam, żeby wymyślić sobie coś takiego, jak żal i rozpacz potrafią otumanić człowieka, a własny umysł płata figle, gdy jest to najmniej potrzebne.

Już chciałam dać sobie spokój, kiedy usłyszałam trzaśnięcie drzwi i zobaczyłam rozwalającą się stajnię.

Serce zabiło mi mocniej.

Łup! – znowu. I wciąż ten szelest liści, jak trzepot skrzydeł, coraz głośniejszy, wypełniał mi uszy.

Potykając się, opuściłam cieniste schronienie przy zbiorniku na wodę i zaczęłam schodzić z boczem w kierunku stajni.

W połowie drogi zobaczyłam dwie postacie pracujące w wysokiej trawie łąki – dwóch facetów, którzy naprawiali ogrodzenie z drutu kolczastego. Zwykły widok, nie było się czego bać, dopóki młodszy nie podniósł głowy – i wtedy go rozpoznałam.

– Jonas! – wykrzyknęłam załamującym się głosem.

Stanęłam jak wryta, wpatrując się w jego wysoką, kościstą sylwetkę.

Jonas Jonson jechał harleyem prostą, gładką szosą za Centennial, z Zoey siedzącą z tyłu. Rozbili się, on zginął na miejscu, choć nie miał zbyt wielu obrażeń, a Zoey przez sześć tygodni leżała w śpiączce i teraz wciąż nie pamiętała, co się wydarzyło.

Jonas, zobaczywszy mnie, zwrócił się do starszego mężczyzny – tego siwowłosego, nazywanego łowczym, który szedł zamknąć drzwi stajni, gdy trafiłam tu po raz pierwszy. Łowczy wyprostował się gwałtownym ruchem, odłożył narzędzia i ruszył prosto ku mnie.

Wstrzymałam oddech. Pomyślałam o ucieczce, ale nie wiedziałam, w którą stronę mam biec.

Łowczy szedł w moją stronę – wysoki, siwe włosy falowały, od ciemnej koszuli odcinała się blada twarz o kamiennym wyrazie. Jonas za jego plecami potrząsał głową, ostrzegając mnie, żebym trzymała się z daleka.

Podniosłam ręce w geście poddania.

– Posłuchaj – odezwał się do łowczego – nie wiem, kim jesteś ani co się tutaj dzieje, ale nie zbliżaj się, okay?

Zatrzymał się jakieś dziesięć kroków przede mną. Jego ciemne oczy płonęły gniewem.

– Przyszłam, bo szukam Phoenixa – wyjaśniłam.

Spoza wierzb zaczęli wychodzić inni – dwie dziewczyny, mniej więcej dwudziestoletnie, jedna ruda, krótko ostrzyżona, druga niosła małe, pulchne dziecko o kędzierzawych włosach koloru słomy.

Towarzyszył im niewysoki, żylasty mężczyzna. Stanęli przy Jonasie.

– Phoenix – zwróciłam się do łowczego z przejęciem, zduszonym głosem. – Gdzie on jest?

Patrzył na mnie, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na biodrach. Zero reakcji. Nie mogłam oderwać wzroku od jego wychudłej twarzy i ciemnych nieruchomych oczu.

Skąd ta bladość? Faceci, którzy tak jak on przebywali na świeżym powietrzu, zwykle byli opaleni i mieli ten charakterystyczny dla pracujących na słońcu ludzi zdrowy wygląd.

To była ostatnia moja sensowna myśl, zanim łopot skrzydeł wypełnił mi głowę. Łowczy przyglądał mi się, a łopot narastał, jakby jakaś tajemnicza siła chciała mnie zmusić do odwrotu. Poczułam duszność, ogarnęła mnie panika. Niewidzialne skrzydła były wszędzie dookoła, więc zacisnęłam dłonie w pięści i zaczęłam młócić na oślep rękami. Przecinały groteskowo powietrze, nie natrafiając na wroga.

Bez tchu, miotając się to w jedną, to w drugą stronę, zawołałam do Jonasa, by mi pomógł.

Łowczy nie obejrzał się. Doskonale wiedział, że Jonas nie ruszy nawet palcem.

– Phoenix, gdzie jesteś? – krzyknęłam.

Kochał mnie. Na pewno mnie uratuje.

Ale wpływ łowczego był silniejszy niż wszystkie prośby, które mogłam do nich skierować. Patrzył na mnie, a skrzydła łopotały coraz głośniej i głośniej, zmuszając mnie do wycofania się w zbawczy cień zbiornika na wodę.

– Gdzie ja jestem? – wydyszałam. Kucnęłam i nakryłam dłońmi głowę, chcąc ją ochronić. – Proszę, proszę, niech ktoś mi powie, co się tutaj dzieje!

Skulona tuż przy ziemi, w głębokim cieniu, dostrzegłam niewyraźnie mający kształt. Czyjaś twarz zawisała nade mną, zbliżyła się i zobaczyłam oczy – czarne, otchłanne jak sama śmierć. Ta czaszkotwarz przesuwała się, rozmazywała, jakby bezcielesna. A potem pojawiła się następna, okropniejsza niż w najgorszym koszmarze sennym – nadpłynęła tak blisko, że serce stanęło mi w piersi. I zaczęłam krzyczeć.